

# Warszawskie premiery

## „SLUCHAJĄC „PANA TADEUSZA”

Przeniesienie „Pana Tadeusza” na scenę jest zadaniem karkołomnym. Nie tak dawno podjął taką próbę Teatr Polski w Szczecinie, później Teatr Polski w Warszawie. Nie zrażony trudnościami swych poprzedników zaryzykował teraz nową inscenizację Adam Hanuszkiewicz w Teatrze Narodowym. Szczęście sprzyja odważnym. Trzeba bowiem powiedzieć od razu, że jest to przedstawienie udane.



„Pan Tadeusz” w Teatrze Narodowym. Od lewej: J. Prazmowski, Zofia Kucówna, Tadeusz Janczara

W jaki sposób osiągnął Hanuszkiewicz tak pomyślny rezultat? Przede wszystkim unikał wszelkiej dosłowności mechanicznego przenoszenia tekstu na scenę. Potraktował „Pana Tadeusza” umownie, zakładając słuszenie, że i tak każdy zna to arcydzieło doskonale. Chodziło więc nie o to, by na scenie pojawiły się wszystkie postacie „Pana Tadeusza”, nawet nie o to, by „leciał” cały tekst, lecz by udało się przekazać klimat, nastrój, myśl dzieła, piękno, liryczność i zadumę tych wierszy, które nie mają w polskiej literaturze sobie równych. Powstało w ten sposób dzieło spójne, choć więzią nie była tu akcja lecz poetycka struktura utworu. Bohaterem przedstawienia jest poeta.

Jak ognia unikał Hanuszkiewicz stereotypów. Inwokacja do Litwy, odczynny poeta, przeniesiona została z prologu do epilogu, fragmenty epilogu znalazły się w prologu, powstała rama, w której bardzo logicznie mieści się cały utwór. Wielka scena Teatru Narodowego pokryta jest zieloną murawą, zgodnie ze słowami księgi pierwszej, która mówi o łąkach zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętych. Na owej murawie usta-

wił scenograf (Xymena Zaniewska) domki malutkie, jak zabawki dziecięce: dwór szlachecki Sopliców „z drzewa, lecz podmurowany”, w tle ruiny zamku Horeszków, o który toczy się proces, a z boku zabudowania gospodarskie. W atmosferę poematu wprowadzają słowa Narratora (Krzysztof Chamiec), a kiedy pojawia się Pan Tadeusz (Marek Robaczewski) wygląda jak Guliwer w kraju liliputów.

Aktorzy nie wcielają się w postacie, lecz opowiadają o nich, swobodnie przerywają dialog, by wtrącić uwagę opisową, lub dłuższy fragment epicki. Ze szczególnym wdziękiem robi to Zofia Kucówna (Jendykowiczówna), która jest ozdobą przedstawienia. Jej opowieść o parzeniu kawy to prawdziwy majstersztyk sztuki recytatorskiej, zachowującego całkowitą swobodę i naturalność domowej opowieści. Ten sposób relacji odpowiada też w pełni Jerzemu Przybylskiemu (Wojski) i Kazimierzowi Wichniarzowi (Sędzia).

Odbiegają od tradycji rozwiązania tak ważnych scen, jak spowiedź księdza Robaka, zwada w zaścianku Dobrzyńskich i koncert Jankiela. Wyznanie Jacka Soplicy nie odbywa się w łóżku umierającego człowieka. Tym większe wrażenie wywiera wstrząsająca prawda o jego życiu. W zaścianku Dobrzyńskich nie ma żadnych szczegółów obyczajowych; jest tylko wielki stół przez całą szerokość sceny, za nim zebrana zaściankowa szlachta, spierająca się, warcholska, rozkrzyczana, nie rozumiejąca, że oto rzecz idzie o wielką sprawę ojczyzny. A w koncercie Jankiela nie oglądamy nawet starego Zyda, lecz jego syna, który zdaje sprawę z sensu tej muzyki, wyrażającej radość narodu z okazji uchwalenia Konstytucji 3 Maja i złowrogi zgrzyt, jakim była Targowica. Bardzo to piękna scena i wzruszająca.

Zrezygnował też Hanuszkiewicz z popularnego zakończenia weselnym polonezem. Nawet tańce mają tu charakter metaforyczny, daleki od wszelkiej dosłowności. Są natomiast odkrycia, czasem bardzo trafne, czasem sporne i dyskusyjne. Najbardziej udane wydaje mi się obsadzenie roli Zosi przez uczennicę szkoły baletowej Małgorzatę Grabowską. Absolutnie wiarygodna jest młodość, świeżość, naiwność tej dziewczyny. Jej przejście przez scenę tanecznym krokiem jest właśnie takie, jak można to sobie wyobrazić czytając „Pana Tadeusza”. Jej aktorstwo jest tak naturalne, tak organiczne, że ani przez chwilę nie odczuwa się tu sztuczności, czy fałszu.

Również Telimena Bożeny Dykiel jest w pełni przekonująca, choć odbiega od wyobrażeń. Myślałem zawsze o Telimenie jako o fertycznej kokietce, sprytniej i pełnej szelmowskiego wdzięku. Bożena Dykiel gra kobietą mocną, twardą, która doskonale wie, czego chce i wcale tego nie ukrywa. Czy Telimena mogła taką być? Przedstawienie dowodzi, że w oparciu o tekst można zbudować z powodzeniem i taką postać. Stanowi ona doskonałą kon-

trast dla ironicznie potraktowanej postaci Hrabiego (Waldemar Kownacki), jest jakby lustrem odbijającym jego romantyczne porywy i mrzonki. Z tego punktu widzenia tak właśnie pojęta Telimena, jaką gra Bożena Dykiel, stanowi najodpowiedniejszą partnerkę dla Hrabiego, z którym zapewne zdradzać będzie swego starego męża, Rejenta, (Marian Rułka).

Nietuzinkowo potraktowana została wreszcie postać Gerwazego w wykonaniu Tadeusza Janczara. I tutaj chciał Hanuszkiewicz odejść jak najdalej od stereotypu. Gerwazy Janczara nie jest więc starcem wspomnianym laty swojej burzliwej młodości, lecz człowiekiem w pełni sił, organizującym z całą energią zajazd na Soplicowo w zaścianku Dobrzyńskich. Aktorowi udało się wydobyć w kilku kluczowych scenach (jak spowiedź księdza Robaka, rozmowa z Protazym) wewnętrzną treść psychiki ostatniego obrońcy dawnych obyczajów i przemiany, jaka się w nim dokonała. Kwintesencją tej roli jest wzruszająca scena przekazania miecza Gerwazego, słynnego Szczyrzyka, generałowi Książewiczowi. Ma ona wymowę symbolu, przymierza pomiędzy dawnymi a nowymi czasami.

Nie byłoby zapewne tego przedstawienia bez telewizyjnych doświadczeń Hanuszkiewicza w pracy nad „Panem Tadeuszem”. Nie znaczy to, że powtórzył on swoją telewizyjną wersję, wręcz przeciwnie. Miał dość czasu, by odejść od niej. Lecz pozostało mu telewizyjne widzenie poezji, co dało także tak dobre wyniki w „Norwidzie”, pozostała mu sprawność operowania środkami technicznymi, którymi się dotąd w teatrze nie posługiwano. Stąd świeżość nowego widzenia „Pana Tadeusza”, właśnie teatralna, a nie telewizyjna.

Przedstawienie dowiodło, że teatr epicki, teatr opowiadający, ma na naszej scenie pełne prawo obywatelstwa i duże możliwości. Publiczność rozumie tę konwencję i dobrze ją przyjmuje. Świadczą o tym gorące oklaski, jakimi darzą widzowie inscenizatora, scenografa i aktorów. Świadczy o tym także pełna sala, co nie jest w dzisiejszym teatrze bez znaczenia.

## „VATZLAV” PO RAZ DRUGI

Kazimierz Dejmek należy do tej nielicznej grupy reżyserów-perfekcjonistów, którzy chętnie powracają do sztuk już wystawionych, by szukać



„Vatzlav” Mroźka w Teatrze Polskim w Warszawie. Na zdjęciu: Jan Englert w roli tytułowej